

WIADOMOŚCI POLSKIE

PRENUMERATA.

Na rok fr. 20
Na pół roku fr. 10
Na trzy miesiące . . fr. 5
Dziennik wychodzi co tydzień,
W SOBOTE.

N^o 40.

DNIA 3 PAŹDZIERNIKA 1857 ROKU.

Wszelkie zgłoszenia tyczące się prenumeraty lub nieodbierania niniejszego pisma, tudzież przesyłanie pieniędzy, mają być adressowane : à M. J. Szczepanowski, 8, rue Vaugirard, à Paris.

Bezimiennie korespondencye nadsyłane z Petersburga i przez *Agencję Havas* do różnych dzienników europejskich udzielane, rozsiewają od niejakiego czasu wieści fałszywe, mogące rzucić na Emigracyą niekorzystne światło w oczach cudzoziemców i kraju. Donoszą one z jednej strony, że książę Czartoryski stara się za pośrednictwem Cesarza Francuzów uzyskać od rządu rosyjskiego obszerniejszą niż dotąd amnestyą oraz powrót majątków zabranych wychodźcom; zapewniają z drugiej, że pewne osoby wielkiego wpływu u cesarza Aleksandra używające, usiłują otrzymać amnestyą dla jednej tylko części wychodźstwa polskiego.

Jakiegolwiek są źródła i powody tych doniesień, mamy obowiązek zaprzeczyć im stanowczo i wyraźnie.

Emigracya niczego od nieprzyjaciół Ojczyzny naszej niespodziewa się; nie od nich dla siebie nie żąda. Może rząd rosyjski używać różnych sposobów do zbłamucenia opinii publicznej, może w nią wmawiać żeśmy żyć przestali lub swe życie kończymy; — nas, te sposoby nie zwiodą. Emigracya zna swoje powinność, z tej drogi nie zejdzie, i nie od Moskwy ale od Europy domagać się będzie sprawiedliwości dla Polski.

Dziennik *l'Univers* zamieszcza następny list z Ukrainy:

Wielka radość i pociecha! Książę nniczy skazani na Sybir wracają z wygnania. Niewiadomo czy będą mogli sprawować urząd kapłański, czegoby najgoręcej pragnęli, Inb czy przynajmniej będzie im wolno przejść na obrządek łaciński. Wszyscy tutaj oddają cześć głęboką wierności dla kościoła tych męczenników i wyznawców prawdziwej wiary, którzy jak dali przykład chrześcijańskiemu mężłwa, tak dzisiaj budują nas pobożnością swą i gorliwością religijną.

Opowiadano dawniej straszliwe dzieje OO. Bazylianów i męczenników w Zachorowicach; mimo to, te okrucieństwa schizmy nie wielu ludziom są znane. Kiedy księdzu Słobockiemu, opatowi Kobryńskiemu, przysłano mszały schizmatyczne, odrzucił je mężnie. Wywieziono go natychmiast do klasztoru w Torokoniach, na Litwie, a w jego miejsce przysłano popa rosyjskiego. Z Torokoń wyprawiono Słobockiego, z dwunastoma innymi księżmi, do klasztoru schizmatycznego w Zachorowicach, i oddano ich na pastwę najwyszukaniejszego okrucieństwa tamtejszych czernców. Wśród zimy, umieszczono ich na drugim piętrze, w celach nieogrzanych i zdjęto z nich ciepłe odzienie. Za całe pożywienie dawano im trochę kaszy hreczanej z solą, lecz ani kawałka chleba. Wkładano na nich ciężkie roboty; musieli rąbać drzewo, nosić wodę, kopać rowy. Męczono ich razami bez litości. Nakoniec rozdzielonych zamknięto w osobnych celach, których drzwi zabito i opieczętowano. Opowiadali oni później swe męczarnie; pierwszego dnia dręczył ich głód, drugiego straszliwe znużenie napadało, trzeciego dnia zdjęta gorączka; gdy rozpacz przyszła gryzli sobie ręce i ssali własną krew aby ukoić głód, który ich pożerał; nakoniec siły ich odeszły i stracili przytomność. Wytrzymano ich pięć

dni na takich torturach, a gdy im w końcu otworzono drzwi, dwóch już nieżyło, opat Słobocki i ksiądz Gruszewski....

Takie i tym podobne prześladowania trwały pięć lat, poczem wysłano ich w głąb Rosyi. Od tego czasu dwadzieścia dwa lat upłynęły, lecz ani razu niedozwolono im odprawić mszy świętej, i odmówiono im wszelkiej pomocy religijnej. Dzieściu z nich żyje dotąd; oto nazwiska tych prawdziwych wyznawców: Teodor Kanianowicz, Sylwester Klementowicz, Grzegorz Micewicz, Cypryan Małyszewski, Jan Andruszkiewicz, Adryan Ratkiewicz, Paweł Żelazowski, profesorowie Siedlicki, Onuszkiewicz i Małyszewski.

Powyższe fakta przez *Universa* podane, są prawdziwe; tworzą one jeden ustęp z tej długiej historii cesarza Mikołaja, który w obec Europy cywilizowanej i w chrześcijańskim jakoby państwie, czasy Dyoklecyanowe odnowił. Niezdaje nam się wszakże aby korespondent wymienił wszystkich unickich księży, których po długim męczeństwie teraz do ojczyzny wrócono. W liście powyższej nie spotykamy nazwisk księdza Tytusa Ilnickiego i księdza Ronczewskiego, których przecież nasza prowincya ruska znać musi.

Czytamy w *Journal de Bruxelles* następującą korespondencyą z Petersburga:

Zamianowana w Petersburgu komisya do wstrzymania wzrostu sekty *roskolników* nietylko żadnego nieprzyniosła owocu, ale owszem sekta ta, a raczej ten zbiór sekt, rośnie w liczbę coraz bardziej. Syberya, Ural i wszyscy kozacy odłączyli się od kościoła rosyjskiego, a na wschodzie cała ludność, wieś po wsi, od Synodu odpada, tak, że dziś liczą już do piętnastu milionów tych sekciarzy. Za dokładność tej cyfry ręczyli mi ludzie znający dobrze stan obecny tej apostazji. — Główną przyczyną tego pomnożenia się jest, że Starowiercy to jest ci, którzy nie przyjmują mszałów poprawionych przez patriarchę Nikona, mają nakoniec Biskupa a zatem i księży. — Co było powodem ich słabości, dziś znikło. Zarzucano im: « kościół Jezusa Chrystusa jest przedewszystkiem episkopalny, wy nie macie Biskupów, nie jesteście zatem prawdziwym kościołem Chrystus! »

« Lecz jakim sposobem zjawił się między nimi Biskup? Oto Biskupi unijacy, rezydujący w Austrii, dopuścili się tego nieprawego wyświęcenia. Austrya w ten sposób klęską jest nietylko polityczną, ale i religijną dla Rosyi. — Jak dotąd ów biskup niepokazał się w Rosyi, ale obrał sobie rezydencyą w Bukowinie, gdzie wielu księży wyświęcał. Szczęściu z tych księży wyprawił on do Rosyi; rząd schwycił dwóch i wysłał ich na Syberyą; reszta, a zapewne jest już ich większa liczba, dotąd umiała się ukryć. — Lecz niedość na tem; skoro dowiedzieli się starowiercy że w Austrii poświęcono im biskupa, uciekają do tego kraju. Do dziś dnia emigrowało ich 30,000. Sekta starowierców jest rakiem loczącym kościół prawosławny.

Korespondent *Dziennika Belgijskiego* ocenia słusznie szkodę, którą sekta starowierców zadaje kościołowi rosyjskiemu, ale niezna faktów które opowiada. Odżywienie sekty starowierców, gasnącej w skutek prześladowań cesarza Mikołaja, było przedmiotem wieloletnich i wielo-

stronnych zabiegów. Korespondent niestudnie je kładzie na rachunek samę tylko Austrii; najniewłaściwiej zaś przypisuje Biskupom uniackim to czego nie zrobili i zrobić niemogli. Głównymi działaczami w tej sprawie byli dwaj mnichy z monasteru Białokrynicy na Bukowinie, Paweł i Olimpiusz, którzy wraz z kozakiem tureckim Ganczarowem, po długich a daremnych usiłowaniach, za daną sobie nareszcie wskazówką i pomocą dostawszy się do Wiednia, uzyskali u księcia Meternicha postanowienie cesarskie « że Austrija każdego Arcybiskupa lub Biskupa greckiego wyznania, wyświęconego przez Patriarchę Konstantynopolu, i któryby się oświadczył, że przechodzi na starowerskie wyznanie, przyjmie w swoim kraju jako Arcybiskupa starowierców, z temiż samemi prawami i przywilejami, jakie mają w Galicyi Arcybiskupi uniacki i prawosławny. » — Skoro ten dekret został podpisany, sprowadzono z Jerozolimy, bawiącego tam biskupa greckiego, byłego Władkę bośniackiego i wyrobiono temuż od Patriarchy carogrodzkiego i od Porty pozwolenie udania się do Austrii. — Wspomniony Biskup, przybywszy na Bukowinę, w monasterze białokrynickim zeznał urzędownie « że z blahocześciwego przechodzi na starowerskie wyznanie » i natychmiast, uznany przez rząd austriacki, wszedł w używanie swego dostojenstwa.

Od czasu kiedy się to działo aż po dziś dzień, wyświęconych zostało dwóch biskupów starowerskich (jeden na Austrię, jeden na Turcję) a przeszło dwa tysiące księży starowierców na państwo rossyjskie. — Ulegając reklamacyom Rossyi, rząd austriacki wywiózł Arcybiskupa białokrynickiego do Gratzu; skutkiem czego rezydencya arcybiskupia przeniesioną została z Bukowiny do dycezyi dobrudzkiej, której Biskup mianowany Arcybiskupem, a podwładny mu Biskup Olimpij jego koadjutorem. — W r. 1855 Moskałe wpadłszy na Dobrudżę, schwytali Arcybiskupa. Pierwszy pułk kozaków dońskich, któremu kazano go eskortować, wymówił się od tego gwałtu, oddano go więc huzarom Radeckiego. Wiedziony pod strażą Arcybiskup, doznawał od wojska dowodów czci głębokiej; w Bessarabii zbiegano się doń jak do świętego męczennika.

W obecnej chwili Biskup Olimpij, koadjutorem jest archidycezyi starowerskiej, która w samych tylko prowincjach tureckich i austriackich liczy przeszło pięćdziesiąt tysięcy wyznawców.

PISMA CZASOWE.

Oddawna już nie robiliśmy ogółowego przeglądu dziennikarstwa krajowego. Pochodzi to głównie z przyczyny, że w tej najruchliwszej części pismienictwa, nie zaszła jednak żadna ważna zmiana ani co do formy, ani co do treści, a powtarzać uwagi nad niedostatkami lub wadami zawsze temiż samemi, rzecz bardzo niemiła i podobno niewielce użyteczna. Można by zapewne znaleźć w tym przedmiocie nie jedną stronę uciechą, ale zastanawiając się nad głębszym znaczeniem tego, co zrazu zdaje się tylko wywoływać uśmiech żartobliwy, prędko napotyka się niepokojący smutek. Ponieważ tedy mamy wypłacić naszą zaległość sprawozdawczą z całego lata, radzibyśmy uczynić to jak najrychlejszą i najkrócej, bez najmniejszej myśli kreślenia obrazków humorystycznych. Jeżeli zda się komu widzieć w tém coś podobnego, wina to będzie chyba samęj natury rzeczy.

Trudność sądenia dzienników naszych, warszawskich mianowicie, leży w tém, że brak im, jakby to powiedział s. p. Mochnacki, *gruntu pod sobą i ujęcia wewnątrz*. Gruntem dziennikarstwa, chociażby niezupełnie bezpośrednio, jest zawsze polityka ogólna. Ten grunt w rzeczywistości jest im zakazany, a w duchu rzekły się go same. Nigdzie niewiada, żeby po nad gwarem ich drobnych i wielostronnych interesów, usiłowań, zachceń i zadowoleń, przyswiecała jakakolwiek myśl obrócona ku wielkim zadaniom dzisiejszym. Często nawet,

zmuszone na swoich drożynach potrać się o którą z tych kwestyj, odwracają się od niej z jakąś płochością dziecinną, albo z dziecinniejszą jeszcze niby mądrością praktyczną, wzgardliwie poglądającą na te *baniki mydlane*. Wszelki jednak naród, chociażby wzięty w najciemniejsze kluby rządowe, póki żyje, póki jest całością czującą choć bezwładną, musi mieć jakisłkolwiek cel powszedniego dążenia, jakieśkolwiek ognisko środkowe codziennego ruchu, jakimkolwiek ołtarz widomy, czci chwilowej przynajmniej. Dzienniki warszawskie nieraz pozwalają sobie z tryumfem i sarkazmem wyrzucać Zachodowi, że utonął w widokach zysku, cały ruch swój źródkował w przemyśle materialnym, na ołtarzu swoim postawił — pieniądź. Przypuścimy, że mają słusność; ależ same, czego chcą, komu służą, co wielbią i święcą codziennym swym holdem? Niektóre z nich, bardzo słusznie i rozsądnie zdjawszy bezwarunkowe potępienie z przemysłu i wogóle z tak zwaną praktyczności, wzięły owszem te przedmioty za cel swojej teoretycznej uprawy; inne trzymając się niby górnieszego lotu, w mniemaniu że pełną dłonią chwytają i syją światło, pędzą bez kierunku i rozwagi po błoni literatury i sztuki: jedne i drugie wszakże, jako pisma codzienne, nie specjalne, potrzebują czegoś więcej, żeby mogły usprawiedliwić swoje stanowisko publiczne, żeby umiały wreszcie dowieść, że przemysł i gospodarstwo k'óre protegują, nie kończą się na pieniądzu, a piśmiennictwo i sztuka nie należą do gałęzi przemysłu. Trzeba, jednem słowem, żeby miały swoje myślenie naczelną, swoją ideę żywotną, swoje bóstwo tajemnicze. I jakże to, dziennikarstwo polskie nie ma tego bóstwa? Z wielką goryczą, musimy powiedzieć — że nie ma. Ciężki to zarzut, i bogdajby był niesprawiedliwy; ale jeśli sąd nasz zbyt surowy, to przynajmniej nie mylimy się bez bardzo widocznej przyczyny. Bóstwo nasze narodowe, to bóstwo, którego imię powinno być niewymawianem jak było święte imię Romy, jest wprowadzone zasłonięte grubym i nie jednym całunem. Dziennikarstwo, pełniące przy niem służbę kapłańską w domu niewoli, mogłoby dla oczu niewiernych na ten kir rzucać różnobarwne pokrycia, ale te nigdy nie byłyby zupełnie nieprzejrzyste dla serc wiernych. W tęsknotach i troskach naszych, biorąc co dzień w rękę arkusze przychodzące z kraju, starannie odsuwamy na stronę co obojętne, przypadkowe, luźne, albo — że się tak wyrazimy — balastowe, a z upragnieniem szukamy tego, w czém daje się postrzeżać ciągły, stały i żywy interes. Tak śledząc oddawna, napotykalismy zawsze lekkość, płochość, wesołość, zadowolenie, dobry humor, radość nawet, nigdy zaś ani cienia żaloby, ani echa głębszych westchnień, i nakoniec poza tém wszystkiem ujrzeliśmy smutną prawdę, że w świątyni naszego dziennikarstwa, na miejscu tajemniczego bóstwa, stoi bałwan, któremu na imię ani Plutus, ani Merkury, ale po prostu tylko *Zabawa*.

Bawić się i bawić — to jest ostateczne rozwiązanie przeznaczeń na tym świecie człowieka i narodu, jakie daje się wyciągnąć z pilnego badania myśli i pojęć dziennikarstwa stołecznego Polski! W tém tylko można namacać jakieś ujęcie go wewnątrz. Jak gdzieindziej wszystko ocenia się z punktu inierosów giełdowych lub handlowych, tak tu z punktu interesu zabawy. Dzienniki warszawskie przyjąwszy formy dziennikarstwa zagranicznego, w tak dziwny sposób napelnili je miejscowym swoim interesem, że wyradza się ztąd najosobliwsza komiczność. Szwajcarska Dolina i Nowa Arkadya, ogródki muzykalne, występują jakby jakie potęgi, systema, czy partje polityczne; naczelnicy orkiestr wędrownych, hypodromiści, aeronauci, akrobaci, podnoszą się do znaczenia meżów stanu i wielkich ludzi: imiona ich oprawne w sute artykuły, świecą na stronicach wszystkich gazet i codziennie rozehodzą się ze stolicy królestwa w najdalsze zakątki dawniej rzecypopolitój naszej. Zaledwo który z głębi Niemiec skieruje się ku Polsce, wnet korespondenci berlińscy i wrocławscy spieszą donieść tę radosną nowinę Warszawie. Za przybyciem, jeśli zadowoli, co dosyć nietrudno, łaskawą a chciwą rozrywek publiczność, zajmują się nim daleko

więcej, niżeli zajmowano się w Paryżu królową angielską, albo wielkim księciem Konstantym. Skoro odjedzie, idą za nim artykuły pożegnalne, a przym. przez pióra nawet feletonistów obfitych w morały, przeciska się na jaw jedna i druga ciekawostka należąca do kroniki skandalicznej. Nareszcie kiedy zdaje się znużonemu czytelnikowi że się już chwala Bogu wszystko skończyło i ucichło, wraca nagle grzmot sławy odbity gdzieś o Karpaty i zapelnia jeszcze dłuższe kolumny dzienników. Korespondenci z Krakowa i Lwowa donoszą, że zasłużony mąż zawitał do nich, sadzą się na pochwały, postrzeżenia, krytyczne i estetyczne a czasem filozoficzne i moralne uwagi, ty zaś biedny czytelniku coś przez kilka miesięcy czytał w artykułach, powtarzaj to sobie teraz dla lepszej pamięci i nauki w korespondencyach.

Jednym z tych wielkich ludzi, sławą swoją obciążających dziennikarstwo nasze krajowe jest Renz, naczelnik i właściciel wędrownego cyrku; ów Renz, o którym pewien głęboki publicysta wyrzekł, że zawsze radzi z niego są Warszawianie, ale i on rad z Warszawian; ów Renz, który w roku zaprzęśliśmy postradawszy piękną amazonkę, porwaną przez jakiegoś lwa warszawskiego, zemicł się w roku teraźniejszym przywoząc tak dzielnych i pięknych jeźdźców, że Warszawianki osypując ich kwiatami, porzucały im i swoje serca...; ów Renz, któremu pan L. N. w swoich listach Wędrowca, niedawno złożył świadectwo znawcy, że ma trupe kompletniejszą, niżeli cyrk paryżki.

Ale oprócz Renza było w Warszawie przeszłego lata wielu innych, o których przemilczeć niewypada. Aeronaauta Berg, szczególniej zajmował dziennikarstwo. O każdej jego podróży powietrznej czytaliśmy najmniej trzy razy bardzo dokładne doniesienia: naprzód w arkuszach codziennych, potem w sprawozdaniach tygodniowych, a nakoniec w tygodniku warszawskim krakowskiego Czasu. Wielką sympatją zjednała dla niego zrazu młoda panienska, która z ochoty puściła się na niebezpieczną przejażdżkę w łódce balonowej. Widok odwagi w skromnej i powabnej dziewczynie, obudził zapał dziennikarski i wywołał kilkakrotnie powtórzenie z uczuciem narodowej dumy tych znaczących wyrazów: *nasza rodaczka! nasza Warszawianka!* Na nieszczęście, pokazało się wkrótce, że odważna panna Teressa Blumen nie była Polką, a nawet podobno i Warszawianką. Co gorsza, pan Regenti, towarzyszył p. Berga, zapowiadał parę razy w afiszach, że się spuści ze spadochronem i nie dotrzyma obietnicy. Dzienniki poczęły przybierać ton opozycji, parlamentarnej wprawdzie, ale mocno stojącej przy prawie publiczności. Obietnica dana była po raz trzeci, i po raz trzeci niedopełniona.... Sprawa doszła do sytuacji delikatnej. Trzeba było dopiero oddać słusność dziennikom, jak godnie i zręcznie potrafiły ją traktować. Kronika naprzykład, Kronika poważna i ekonomiczna, nieposzczędziła całej szpalaty na artykuł pełen taktu i głębokości. Rozebrawszy spokojnie wszystko, co na potępienie i usprawiedliwienie obżalowanego można było przytoczyć, skreśliła żywo zawód publiczności z otwartymi ustami patrzącej w górę, a nakoniec pokazała, co to jest umieć zawsze zachować umysł wolny od wszelkiego zapалу. Spodziewano się — rzekła — spodziewano się z ufnością zaślępioną chęcią, my zaś od początku byliśmy pewni, że z tego nic niebędzie. Dostyc było spojrzeć na nędzny *surogat* spadochronu zawieszony pod łódką, żeby przewidzieć, że p. Regenti ani myśli nie miał powierzyć się jemu. Ta powaga i trafność sądu, przypomina znanego z przenikliwości publicystę, który pisując do *Czasu* zawsze zdaje się pamiętać, że przemawia do kilku milionów, a często powtarza: sprawdziły się moje przewidzenia — stało się jakem wam zapowiadał, i t. p.

Większy jeszcze interes, bo już wkraczający w granice sztuki, tej bogini przybieranej dziś za najwyższą Patronkę i cywilizacyjną Orędowniczkę Polski, obudzało współubieganie się dwóch zagranicznych kompanij muzyków. Bilse, przybyły z Lignicy osiadł w Dolinie, i rzeczywiście warto-

ścią swojej orkiestry podbił sobie publiczność, miałwał po trzy tysiące słuchaczy. Niemógł tego zcierpieć właściciel Arkadyi, pobięgi aż do Pesztu i sprowadził Farkasza Miszkę z Węgrami. Pogłoski nakształt błyskawic poprzedzających groźną chmurę, oznajmiały przybycie tej nowej siły. Mężowie stanu w państwie Zabawy, wzięli wszystkie prawdopodobieństwa mających wyniknąć ztąd następstw, i utrzymywali kraj w tem niecierpliwem zawieszaniu ciekawości, jakie zwykle poprzedza spodziewaną walkę. Oczekiwano ze drżeniem starcia się Madziarów z Szlżakami. — Farkasz przybył, Bilsego niezwytyczył, ale i sam nie upadł. Miał on także zalety i swojej orkiestry i nadto swoje własne, był człowiek młody, przystojny, z pięknym czarnym wąsikiem.... Odjazd też jego przy schyłku sezonu został upamiętniony okolicznością w pół tragiczną. Rozbiegła się wieść, że umarł na samej granicy opuszczanego kraju, a to tylko co nie stało się powodem drugiej śmierci, pierś jednej muzykalnej Warszawianki tylko co nie pękła z rozpacz. Dzienniki spiesząc pocieszyć stroskaną amatorkę odwołaniem fałszywej wieści, nie miały dosyć dyskrety, żeby razem nie napomknąć o jakimś fatalnem zjechaniu się nieszczęśliwego męża ze szczęśliwym artystą w dworcu drogi żelaznej. Tak się tedy toczą wielkie sprawy krajowe i aż tutaj o nich wiemy.

Przyszła nakoniec kolej odjazdu i na pana Bilse. Gwiazdka Gazety Warszawskiej, która wielokroć czyniła bardzo zdrowe uwagi nad znaczeniem celów dobroczynnych, używanych za płaszczyk do pokrycia chęci zabaw albo widoków osobistych, właśnie tę dobroczynność wzięła za pochoch do pożegnania Bilsego panegirykem. « Należy się jemu od nas — powiada — słów kilka szczerego uznania i serdecznej sympatii. Cudzoziemiec ten okazał nam, że umie cenić to współczucie, które Warszawianie ofiarowali mu od pierwszych chwil przybycia, bo kilkakrotnie odstąpił znacznych zysków na korzyść tutejszych dobroczynnych zakładów. » — Jako komentarz do tych słów czytamy w tygodniku warszawskim *Czasu*: « Łatwo bardzo ten podział dochodów uczynić, bo ceny zwyczajne są po złotemu, zaś na cel dobroczynny podnieść można w dwójnasób, zawsze się tedy swoje złotówki odbiorą, a nawet i więcej, bo któżby nie poszedł na ową muzykę kiedy idzie o dobro bliźniego. » Przytęm szanowny korespondent powstaje z oburzeniem na dzienniki warszawskie, które w zapale czci dla Bilsego ubliżyły godności narodowej. Jedna z gazet tamecznych « nie wahała się wyrzec publicznie, że Bilse dopiero obudził w nas smak i zamiłowanie do muzyki... » O zgrozo!

Z powodu tej drażliwej troskliwości o godność narodową, musimy zwrócić uwagę na jeden niepokojący objaw zmian wyobrażeń. Słusznie zapewne dbać o sławę swego narodu, i nie dziw że każdemu Polakowi słonie serce, kiedy w dalekich stronach świata słyszy ze czcią wspomniane imiona Pułaskiego, Kościuszki, Księcia Józefa, Dąbrowskiego i tylu innych; nie dziw także, iż żarliwie broniliśmy od zagrabenienia przez Niemców naszego Kopernika: ale dzisiaj rodzi się inne pojęcie sławy. Zabaczając, że cokolwiek jeszcze mamy szacunku i sympatii u cudzoziemców, winniśmy to naszej wierze, miłości i nadziei płonącej na ołtarzu Ojczyzny, zesłaliśmy do szukania narodowych zasług w nogach tancerzy i w gardzielach śpiewaczek naszych! Z jakim to wyrazem zadowolonej dumy, powtarzają się ciągle wzmianki o pannie Straus, baletniczce warszawskiej, która występowała z powodzeniem nawet na deskach wielkiej opery Paryża! Jaki to rumor gniewu w dziennikach warszawskich obudził święto jakiś Niemiec, zaliczając pannę Leśniewską, znaną we Włoszech śpiewaczkę, do narodowości węgierskiej! Dopiero Gazeta Codzienna (która nawiasem mówiąc, często w swoim « przeglądzie pism » objawia sąd zdrowy, a niekiedy z naiwnością *d'un enfant terrible* zdradza domowe tajemnice piśmiennictwa krajowego) odezwała się rozsądnie, że Niemiec mógł się pomylić bez złej woli, a zresztą niemasz o co robić tak wiele balasu. — Przytoczyć tu musimy słowa *Timesa*, które właśnie temi dniami jeden

z korespondentów paryżkich umieścił w swoim zajmującym liście przesłanym *Czasowi*. Dziennik angielski, w obecnych okolicznościach przypominając klasom wyższemu swego kraju ich obowiązki i powołanie, powiada: « Cnoty rycerskie i obywatelskie powinny zdobić szlachtę jeżeli chce ona utrzymać się przy sterze rządu i na czele narodu. Skoro społeczeństwo jakie zejdzie na ten stopień, że pierwszy lepszy artysta większe w niemu znajduje poważanie, niż zasłużony generał, wtedy rola polityczna tego społeczeństwa już się skończyła, a za forum i parlament wystarczą mu teatry i balety. » Szkoda byłoby gdyby te kilka wierszy przemknęły przed oczyma krajowej publiczności naszej niedość zauważane. Jeżeli podobna przestroga przydać się może Anglii ledwo dopiero zdaleka zagrożonej utratą potęgi, jakże ona właściwa dla nas, którym wszystko odzyskiwać potrzeba — jeżeli nie chcemy poprzestać na takim bycie politycznym, jaki reprezentują dzienniki warszawskie.

Za tem przewróceniem wyobrażeń o godności i sławie narodu, przewróciło się zupełnie znaczenie wielu wyrazów. Trudno na przykład wiedzieć co dziś u nas rozumieć należy przez zasługę. Każdy niemal autor łąda jakiej książki, bez względu czy jego pióro służy czy szkodzi Polsce, po sto razy bywa nazwany zasłużonym. Niedość na tem, każdy księgarz, który wyda parę dzieł ozdobnie, chociaż drze za nie niemilosierdzie, pewnie zaszczycony będzie tytułem zasłużonego. Tytuł ten po dziennikach naszych tak brzmi gesto, że dziwić się potrzeba, jakim sposobem kraj, który liczy tylu mężów zasłużonych, dotąd ni u Boga ni u ludzi nie wysłużył lepszych dla siebie względów. — Oh! Bóg i ludzie nie mogą zezwolić na to, aby zasługę rozumiano, jak ją rozumieją w Warszawie. Oto w tygodniku warszawskim *Czasu* czytamy: « Nowo sprowadzony tenorzysta Mazzi, ma głos świeży w wysokich nawet tonach dość przyjemny i łatwy. Niemożna mu zatem w zupełności odmawiać *zasługi*. » Kronika warszawska pisze: « Pan Krosso (akrobata) dał przeszło trzydzieści przedstawień, a widowiska jego jeszcze nie spowszedniały, jestto dowód jego *zasługi*. » I cóż na to powiedzieć?

Zaprawdę, poczyną się jakieś babelskie pomieszanie. Poglądając na obrazy zapamiętania się, szalu i pijaństwa u nas za Sasów, które tak hojnie teraz powieści i pamiętniki roztaczają nam przed oczyma, ze zdumieniem i wstrętem wzruszamy ramionami. Kto wie, czy potomkowie nasi nie będą mieli prawa bardziej nas oskarżać niżeli my przodkowie. Niepamięć nasza na sprawę publiczną tem występniejsza, że położenie stokroć bardziej niebezpieczne; szal tem mniej usprawiedliwiony, że zimny i sztuczny; nietrzeźwość głów tem straszniejsza, że bez winy.

Dodajmy do tego, że te same dzienniki, te same ich feletony pełne są nauczań bardzo budujących, narzekają na zbytki, na mody, na marnotrawstwo, na niepotrzebne za granicę podróże, bardzo surowych; co nieraz w żaden sposób pogodzić się niedaje z tuż następującymi opisami *con amore* bałów, zabaw, rozrywek i wszelkiego rodzaju mamiel. Nikt więc nie sypie fałszywych zachęt i razem pięknych moralów, jak Gwiazdka Gazety Warszawskiej. Autor jej częstokroć wygląda jak skrzypek, który rznie od ucha mazura zachęcając do tańca, a poważnym głosem prawi kazanie, że nienależy tańcować. Sprzeczność ta pochodzi z braku szczerości w logicznym rozwijaniu przyjętej zasady. Po co zresztą narzekać i żądać poprawy, kiedy w duszy jest zadowolenie i przekonanie, że wszystko idzie jak najlepiej. Świadczą o tem te słowa: « Od kilku lat Warszawa pomnożyła w sobie niezmiernie środki do rozwinięcia ruchu wewnętrznego. Na każdej drodze — nawet w zabawach i rozrywkach, wszędzie spotykamy dzisiaj znakomity postęp; nawet kanikuła, która dawniej zamieniała nasze ulice w puste galerie, dzisiaj bezsilnie walczy z siłą ludzkiego przemysłu, z *objawami cywilizacji*. Ale też Warszawa dzisiejsza niepodobna do dawniej. Drogi żelazne, druty elektryczne, wodociągi, gaz i parowa żegluga, skoncentrowały tu cały ruch społeczny, całą siłę życia krajowego. »

Biada byłaby krajowi, gdyby w tem była zupełna prawda. Na szczęście tak nie jest. Warszawa nie skoncentrowała całej siły życia polskiego, zadowolenie Gwiazdki z objawów cywilizacji, nie zadawalnia pragnień całego narodu, ani dziennikarstwo warszawskie nie wyraża jego uczuć. Mamy tego liczne dowody, napotykamy widoczne ślady. W szumie fałalnie skierowanego piśmiennictwa, które odurza i głuszy zdrowy zmysł publiczny, gdują się jednak czasem choć nieśmiało ale znaczące głosy i przynoszą nam pociechę, że « instynkt narodu lepszy jest od światła jego przewodników umysłowych. »

Do Redaktora Wiadomości Polskich,

Racz. Szanowny panie Redaktorze zamieścić w dzienniku swoim list załączony, którego treść, prócz tych którym jest odpowiedział, obchodzić może i innych żołnierzy b. Dywizji polskiej.

Chciej przyjąć, etc.

W. Zamoyski.

« Do 39ciu żołnierzy polskich pułku 2go Legii zagranicznej francuskiej w Algerze, prowincji Oran.

« Kochani Rodacy i hyli współtowarzysze moi!

» Odebrałem list, któryście w Sidi-Belabess podpisali, i do mnie, do Stambułu, wyprawili. Cieszę się że zgłoszenie się wasze do mnie daje mi sposobność upewnienia was, że nadużył ławowierności waszej ten, co was sprowadził na domysł, iż wam nie wypłacono tego co wam przez moje ręce Rząd Angielski przeznaczył.

» Słusznie się powołujecie na list Sekretarza Stanu Angielskiego pod dniem 16 Listopada 1855 r. do mnie pisany (*); tylko o treści onego mylnie wam widać powiedziano. Artykułem 16ym tegoż pisma zastrzeżono, że w razie rozwiązania Dywizji Polskiej, należy się będzie żołnierzom gratyfikacji ilość jednorocznego żołdu. Żołd na stopę turecką odbieraliście do ręki, miesięcznie, w jeździe po piastrów tureckich dwadzieścia cztery. Dwanaście miesięcy czyniło piastrów 288; co, licząc po sto dwadzieścia piastrów na jeden *lis*, dawało wam prawo do dwóch funtów szl. i ośm szylingów.

» Kiedy z upadkiem drogich nam nadziei, nastąpiło rozwiązanie Dywizji, przedstawiłem Ministrowi Wojny różnicę między tak szczupłą, Polakom płacić się mającą gratyfikacją, a ilością osmnastu funtów płaconą jednocześnie Niemcom, Włochom i Szwajcarom, za służby niedłuższe od naszych i w nieuciążliwych, zaprawdę, okolicznościach. — Uznał Rząd Angielski, że nie należy aby Polacy za to ucierpieli, że do boju z wrogiem Ojczyzny zaciągnęli się bez targu. Pod d. 4 Sierpnia 1856 r., Minister Wojny rozkazał: każdemu żołnierzowi Dywizji Polskiej dopłacić po funtów dziesięć. — I tak to się stało, że jak sami świadczycie, nie funtów dwa, szylingów ośm, ale funtów dwanaście i szylingów ośm, to jest pięć razy więcej niż wam się ściśle należało, każdy z was, przy rozwiązaniu Dywizji, odebrał.

» Dla wiadomości waszej dodam, że podoficerom i żołnierzom Dywizji naszej, którzy z Turcyi na Zachód o własnym koszcie ndawali się, Rząd Angielski na podróż dopłacał po funtów dziesięć; ale oczywiście, nie stosował tego do tych, którym Francya dawała przewóz, przyjąwszy ich do służby swojej.

» A teraz, pozdrawiając was i Boskiej opiece polecając, życzę abyście, ćwicząc się w najwyborniejszej szkole, jaką jest wojsko francuskie, mieli na ciągłej pamięci, że was, i nabytego przez was doświadczenia, Ojczyzna własna jeszcze, da Bóg, zapotrzebuje.

Generał ZAMOYSKI.

(*) Ogłoszony po polsku, w treści, w N. 6 *Wiadomości Polskich*, z dnia 12 Grudnia 1855.

Redaktor, Feliks WŁODKOWSKI.

W drukarni L. MARTINET, przy ulicy Milnion, 2.